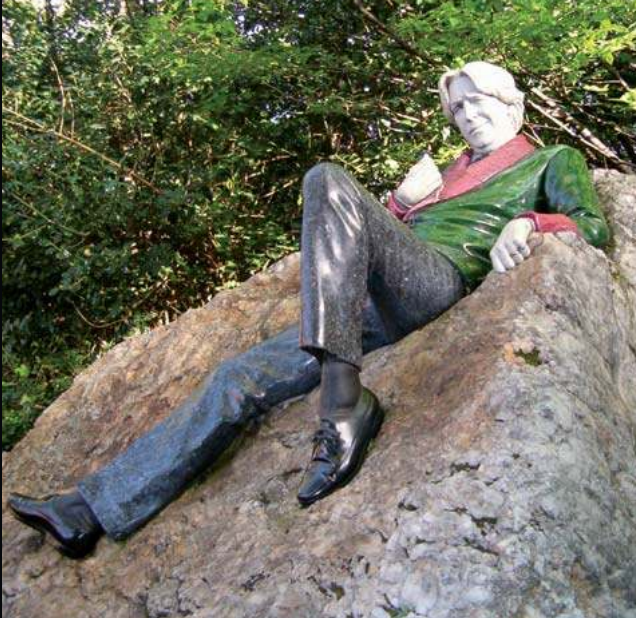




OSCAR WILDE

PORTRET

DORIANA GRAYA



Oscar Wilde (1854–1900) – irlandzki poeta, prozaik i dramatopisarz. Jest bohaterem kilkunastu biografii literackich i filmowych. Przedstawiciel modernistycznego estetyzmu. Ekscentryk. Za kontakty homoseksualne skazany na dwa lata ciężkich robót. Później żył na wolności pod zmienionym nazwiskiem. Jego styl życia znalazł odzwierciedlenie w twórczości. Autor m.in.: *Szczęśliwego księcia i innych opowiadań* (1888), finezyjnych komedii satyrycznych – dzięki którym zyskał miano „lorda Paradoкса” – *Upiór rodu Canterville’ów* (1887), *Kobieta bez znaczenia* (1894), *Mąż idealny* (1895), *Brat marnotrawny* (1895), a ponadto poematu *Ballada o więzieniu w Reading* (1898) oraz autobiograficznego monologu *De profundis* (1905). *Portret Doriana Graya* powstał w 1890 roku.

OSCAR WILDE
PORTRET
DORIANA GRAYA

przełożyła Maria Feldmanowa

Tytuł oryginału: *The Picture of Dorian Gray*

Copyright © for the Polish edition by Wydawnictwo W.A.B., 2010

Copyright © for the Polish translation by Barbara Kołodzińska,

Jerzy Zbigniew Kwiatek, Zofia Łotocka, Jerzy Wojciech Mazur,

Zbigniew Mazur, Krystyna Mazur-Kuchno, Maria Mazur-

-Prokopiuk, Krystyna Mazur-Śniady, Barbara Moos

Wydanie II w tej edycji

Warszawa 2011

PRZEDMOWA

Artysta jest twórcą piękna.

Objawić sztukę, ukrywać artystę – oto cel sztuki.

Krytykiem jest ten, kto swe własne wrażenia piękna umie w odmiennej wyrazić formie, nowy im nadać kształt. Zarówno najwyższa, jak najniższa forma krytyki jest pewnego rodzaju autobiografią.

Kto w pięknie odnajduje sens brzydkiego, jest zepsutym, wcale nie będąc czarującym. To błąd.

Kto w pięknie odnajduje sens pięknego, posiada kulturę. Ma przyszłość przed sobą.

Wybrani są ci, dla których piękno posiada wyłącznie znaczenie piękna.

Nie ma księzek moralnych lub niemoralnych. Są książki napisane dobrze lub źle. Nic więcej.

Niechęć dziewiętnastego stulecia do realizmu jest wściekłością Kalibana, widzącego w zwierciadle swoją własną twarz.

Niechęć dziewiętnastego wieku do romantyzmu jest wściekłością Kalibana*, niewidzącego w zwierciadle swojej twarzy.

* Kaliban – postać z *Burzy* Szekspira; półdziki niewolnik o odrażającej powierzchowności.

Moralne życie człowieka stanowi część tworzywa artysty, ale moralność sztuki polega na doskonałym użyciu niedoskonałego środka. Żaden artysta nie pragnie niczego dowieść. Nawet rzeczy prawdziwe dadzą się dowieść.

Żaden artysta nie posiada sympatii etycznych. Sympatia etyczna jest u artysty niewybaczalnym zmanierowaniem stylu.

Żaden artysta nie jest neurasteniczny.

Artysta może wyrażać wszystko.

Myśl i język są dla artysty narzędziami sztuki, cnota i występki są dla artysty tworzywem sztuki. Ze stanowiska formy typową sztuką jest muzyka. Ze stanowiska uczucia typowa jest sztuka aktorska.

Wszelka sztuka jest zarazem powierzchnią i symbolem.

Kto sięga pod powierzchnię, czyni to na własną odpowiedzialność.

Kto odczytuje symbol, czyni to na własną odpowiedzialność.

W rzeczywistości sztuka odzwierciedla widza, nie życie.

Różnorodność zdań o dziele sztuki dowodzi, że dzieło jest nowe, złożone i zdolne do życia.

Niezgodność krytyków między sobą dowodzi zgodności artysty z sobą.

Możemy komuś wybaczyć, że stwarza coś użytecznego, dopóki dzieła swego nie podziwia. Jedynym usprawiedliwieniem dla człowieka, który stwarza coś bezużytecznego, jest wielki podziw dla tego dzieła.

Każda sztuka jest bezużyteczna.

I

Odurzająca woń róż napełniła pracownię, a ilekroć wietrzyk letni musnął drzewa w ogrodzie, przez otwarte drzwi wnikał ciężki zapach bzu lub mniej intensywna woń kwitnącego głogu.

Z kąta kanapy nakrytej perskim dywanem, na której leżał, wypalając jak zwykle niezliczone ilości papierosów, lord Henryk Wotton mógł jeszcze chwycić blask rozkwitłego krzewu złotego deszczu o miodowej woni i barwie: drżące jego gałązki z trudem zdawały się dźwigać ciężar swej płomiennej piękności. Tu i ówdzie fantastyczne cienie przelatujących ptaków migotały na tle jedwabnych zasłon, spływających wzdłuż ogromnych okien, a cienie te wywoływały na chwilę wrażenie obrazów japońskich. Wtedy lord Wotton myślał o owych malarzach z Tokio, których twarze są blade i znużone; starają się oni wywoływać za pomocą sztuki, z konieczności nieruchomej, wrażenie życia i ruchu. Słumione brzęczenie pszczół, z trudem szukających sobie drogi wśród wysokiej nieskoszonej trawy lub z monotonną wytrwałością wirujących dokoła złotawych pyłków kwieciska kapryfolium, potęgowało jeszcze panującą wokół ciszę.

Głuchy gwar Londynu przypominał głębokie tony dalekich organów.

Pośrodku pokoju, na pionowo ustawionych sztalugach, stał naturalnych rozmiarów portret młodego człowieka niezwykłej piękności, a w pewnej odległości od obrazu siedział sam artysta, Bazyli Hallward, który nagłym zniknięciem przed paru laty wywołał wielką wrzawę, dostarczając materiału do najrozmaitszych przypuszczeń.

Uśmiech zadowolenia przemknął i osiadł na twarzy malarza, wpatrującego się w tę wdzięczną, a zarazem wspaniałą postać, którą odtworzył jego artyzm. Nagle jednak zerwał się, przymknął oczy i palce położył na powiekach, jakby w mózgu swym chciał uwięzić dziwny sen, z którego obawiał się przebudzić.

– Najlepsze twoje dzieło, Bazyli, najlepsze ze wszystkich, jakie kiedykolwiek stworzyłeś – nieco znużonym głosem odezwał się lord Henryk. – Musisz je na przyszły rok posłać na wystawę do Grosvenorskiej Galerii. Akademia jest zbyt wielka i zbyt banalna. Ilekroć tam byłem, zastawałem zawsze tylu ludzi, że nie mogłem widzieć obrazów, co było okropne, lub też tyle obrazów, że nie mogłem widzieć ludzi, co było jeszcze gorsze. Pozostaje zatem tylko Grosvenorska Galeria.

– Zdaje mi się, że obrazu tego nie dam na żadną wystawę – odparł malarz, odrzucając głowę w tył tym dziwacznym ruchem, który zawsze w Oksfordzie pobudzał jego kolegów do śmiechu. – Nie, nie dam go nigdzie.

Lord Henryk podniósł brwi i poprzez mgliste, błękitne kółeczka dymu, w fantastycznych zwojach unoszącego się

z jego mocnego, opiumowanego papierosa, ze zdumieniem spojrzął na malarza.

– Nie dasz na wystawę? Ale czemu, chłopcze drogi? Czy masz jakiś powód? Co za dziwaki z was, malarzy. Wszystko robicie, by zdobyć sławę, a gdy ją zdobędziecie, wydaje się, żebyście się jej najchętniej chcieli pozbyć. To z waszej strony głupio, bo jedyną rzeczą gorszą od tego, że o nas mówią, jest to, że o nas nie mówią. Taki obraz mógłby cię wynieść nad wszystkich młodych artystów Anglii i wzbudzić zazdrość starych, gdyby w ogóle starzy ludzie zdolni byli do jakiegokolwiek uczucia.

– Wiem, że się będziesz śmiał ze mnie – odparł malarz – ale naprawdę nie mogę tego obrazu wystawić. Za wiele weń włożyłem z siebie samego.

Lord Henry wyciągnął się na kanapie i począł się śmiać.

– Wiedziałem, że będziesz się śmiał, ale jednak tak jest.

– Włożyłeś za wiele z siebie samego! Dalibóg, nie wiedziałem, że jesteś tak próżny. Bo istotnie nie mogę znaleźć podobieństwa między twoją surową, ostrą twarzą i kruczym włosom a tym Adoniszem, który wygląda, jakby był cały z kości słoniowej i listków róży. Nie, mój drogi Bazylu, toż to Narcyz, a ty – no, bez wątpienia masz twarz intelektualisty i tak dalej, ale piękność, prawdziwa piękność kończy się tam, gdzie się zaczyna intelektualizm. Jest on już sam w sobie rodzajem przesady i psuje harmonię każdej twarzy. I niech tylko człowiek się zamyśli, zaraz cały się staje nosem albo czołem, lub czymśkolwiek innym szpetnym. Spójrz tylko na ludzi pracujących z powodzeniem w jakimś

uczonym zawodzie. Jacyż brzydcy! Oczywiście z wyjątkiem dygnitarzy kościelnych. Ale też w kościele wcale się nie myśli. Biskup osiemdziesięcioletni mówi zupełnie to samo, czego go nauczono, gdy miał lat osiemnaście, i dlatego też zawsze wygląda zachwycająco. Twój tajemniczy młodzieniec, którego nazwiska nigdy mi nie wymieniłeś, a którego portretem jestem istotnie oczarowany, na pewno nigdy nie myśli. Jestem o tym przekonany. Jest bezmyślną, piękną istotą, która zawsze powinna tu być w zimie, kiedy nie mamy kwiatów, a także w lecie, kiedy nam potrzeba czegoś dla ochłodzenia naszego intelektu. Nie pochlebiaj sobie, Bazyli, wcale a wcale nie jesteś do niego podobny.

– Nie rozumiesz mnie, Henryku – odparł artysta. – Naturalnie, że nie jestem do niego podobny. Wiem o tym tak samo dobrze jak ty. I przykro by mi było, gdybym był do niego podobny. Wzruszasz ramionami? Mówię jednak prawdę. Pewnego rodzaju fatalizm unosi się nad każdą niezwykłością fizyczną czy duchową – fatalizm, który w historii idzie trop w trop za chwiejnymi krokami królów. Lepiej nie różnić się od swych bliźnich. Brzydkim i głupim najprzyjemniej na tym świecie. Mogą sobie spokojnie siedzieć i przyglądać się zabawie. Jeśli nic nie wiedzą o zwycięstwie, to bywa im też zaoszczędzona świadomość klęski. Żyją, jak powinniśmy żyć wszyscy: cicho, obojętnie, bez niepokoju. Nie powodują zguby innych, ale też i inni nie powodują ich zguby. Twoje stanowisko, Henryku, twój dobrobyt, mój umysł, jakkolwiek on jest, mój talent, cokolwiek on wart, piękność Doriana Graya – wszyscy my odpokutujemy za to, co nam bogowie dali, odpokutujemy strasznie.

– Dorian Gray? Więc tak się nazywa? – podjął lord Henryk, zbliżając się do Bazylego Hallwarda.

– Tak, tak się nazywa. Nie miałem zamiaru ci tego powiedzieć.

– Dlaczego nie?

– Ach, nie mogę ci tego wytłumaczyć. Jeśli kogoś bardzo kocham, przed nikim nie wymieniam jego nazwiska. Bo wydaje mi się, że wyrzekam się części jego istoty. Nauczyłem się kochać tajemniczość. Ona jedna chyba może uczynić życie niezwykłym i cudownym. Najpowszedniejsza rzecz zyskuje urok, gdy się ją zachowuje w tajemnicy. Gdy wyjeżdżam z Londynu, nie mówię mojej rodzinie, dokąd jadę. Gdybym to zrobił, pozbawiłbym się całej przyjemności. Może to nierozsądne, ale mnie się wydaje, że taka tajemniczość wnosi w nasze życie dużą dawkę romantyzmu. Obawiam się, że mnie będziesz uważał za strasznie niemądrego.

– Wcale nie – odparł lord Henryk – wcale nie, mój drogi Bazyli. Zapomniałeś zapewne, że jestem żonaty i że urok małżeństwa na tym właśnie polega, że wzajemne niemówienie prawdy jest tutaj nieodzowne. Ja nigdy nie wiem, gdzie jest moja żona, a moja żona nie wie nigdy, co robię. O ile się spotykamy, a zdarza się to czasem, gdy jesteśmy gdzieś razem zaproszeni lub idziemy do księcia, wtedy z najważniejszą miną opowiadamy sobie najgłupsze rzeczy. Moja żona to umie, lepiej nawet ode mnie. Ona nigdy nie jest w kłopotcie, gdy chodzi o daty, ja zawsze. Ale jeśli mnie nawet na coś przychwyci, to wcale mi nie urządza sceny z tego powodu. Czasem chciałbym, aby to zrobiła, ale ona poprzestaje na wyśmianiu mnie.

– Nie cierpię, gdy się w ten sposób wyrażasz o swym małżeństwie – rzekł Bazyli Hallward, podchodząc do drzwi wiodących do ogrodu. – Jestem pewny, że jesteś bardzo dobrym mężem i wstydzisz się tylko swoich cnót. Dziwny z ciebie człowiek. Nigdy nie powiesz nic moralnego, a nigdy nie zrobisz nic złego. Twój cynizm nie jest niczym innym jak pozą.

– Naturalne zachowanie nie jest niczym innym jak pozą, i to pozą najbardziej drażniącą ze wszystkich, jakie znam – ze śmiechem zawołał lord Henryk.

Obaj młodzi mężczyźni wyszli do ogrodu i usiedli na długiej ławie bambusowej, ustawionej w cieniu dużego krzewu wawrzynu. Promienie słońca ślizgały się po błyszczących liściach. W trawie drżały małe stokrotki.

Po chwili lord Henryk wyjął zegarek.

– Muszę już iść, Bazyli – rzekł – ale zanim pójdę, obstaję, byś mi odpowiedział na pytanie, które ci zadałem.

– Na jakie pytanie? – spytał malarz, nie podnosząc oczu.

– Wiesz doskonale.

– Doprawdy, że nie.

– Więc ci powtórzę. Chciałbym, abys mi wyjaśnił, dlaczego nie chcesz wystawić portretu Doriana Graya. Chciałbym znać prawdziwy powód.

– Podałem ci go.

– O nie. Powiedziałeś, że za wiele włożyłeś w ten obraz z siebie samego. To przecież dziecinada.

– Harry – rzekł Bazyli Hallward, patrząc lordowi Henrykowi prosto w twarz – każdy portret malowany z przejęciem

jest portretem artysty, nie zaś modela. Model jest tylko pobudką, okazją. Nie jego, ale raczej siebie samego malarz ujawnia na płótnie. Powód, dla którego nie chcę tego obrazu wystawiać, jest ten, że obawiam się, czy nie ujawniłem w nim tajemnicy własnej duszy.

Lord Henryk się zaśmiał.

– Jakiej tajemnicy?

– Powiem ci – rzekł Hallward, ale po twarzy jego przemknął wyraz zmieszania.

– Drzę z niecierpliwości, Bazylu – rzekł lord, patrząc na niego.

– Właściwie niewiele tu do opowiadania – odparł malarz – i obawiam się, że niewiele z tego zrozumiesz. Może nawet w to nie uwierzysz.

Po twarzy lorda Henryka przemknął uśmiech. Przechylił się, zerwał różową stokrotkę i począł się jej przyglądać.

– Jestem pewny, że zrozumieć – rzekł, wpatrując się uważnie w drobną, złotawą tarczę otoczoną małymi piórkami. – A co się tyczy wiary, to mogę uwierzyć we wszystko, o ile jest całkowicie nieprawdopodobne.

Wiatr strząsnął z drzewa nieco kwiecica, a ciężkie pęki rozkwitłego bzu pełnego gwiazdek leniwie kołysały się w parnym powietrzu. Konik polny ćwierkał pod murem, a długa, cieniuchna jętko o brązowych skrzydełkach z gazy mignęła niby błękitna niteczka. Lord Henryk miał wrażenie, że słyszy bicie serca Bazylego Hallwarda, i ze zdumieniem czekał, co nastąpi.

– Rzecz jest po prostu taka – zaczął malarz po chwili. – Przed dwoma miesiącami poszedłem na przyjęcie do lady

Brandon. Wiesz, że my, nieszczęśni artyści, musimy się od czasu do czasu pokazywać w towarzystwie, aby przypomnieć publiczności, że nie jesteśmy dzikimi ludźmi. Powiedziałeś raz, że w wieczorowym stroju i w białym krawacie nawet makler giełdowy może zdobyć reputację człowieka cywilizowanego. Otóż byłem zaledwie dziesięć minut w pokoju, rozmawiając z niesłychanie przesadnie postrojonymi wdowami i nudnymi akademikami, gdy nagle poczułem, że ktoś na mnie patrzy. Odwróciłem się na wpół i po raz pierwszy ujrzałem Dorianą Graya. Gdy spojrzenia nasze spotkały się, poczułem, że blednę. Zdjęło mnie dziwne uczucie lęku. Wiedziałem, że stoję naprzeciw człowiekowi, którego sama osobowość jest tak fascynująca, że jeśli się jej poddam, wchłonę całą moją istotę, całą moją duszę, całą moją sztukę. Nie chciałem, aby życie moje uległo wpływom zewnętrznym. Sam przecież wiesz, Harry, jak jestem z natury niezależny. Byłem zawsze własnym swym panem, byłem nim, zanim spotkałem Dorianą Graya. Wtedy... nie wiem, jak ci to wytłumaczyć, ale coś zdawało mi się mówić, że stoję przed strasznym przełomem w moim życiu. Miałem dziwne przeczucie, że los ma dla mnie w pogotowiu wyjątkowe radości i wyjątkowe cierpienia. Przerażony, odwróciłem się, by wyjść z pokoju. Nie sumienie mnie wypędzało, ale pewnego rodzaju tchórzliwość. Przyznam się ze wstydem, że chciałem po prostu umknąć.

– Sumienie i tchórzliwość to w gruncie rzeczy jedno i to samo, Bazyli. Sumienie jest firmą spółki. Oto wszystko.

– Nie wierzę w to, Harry, i nie sądzę, abys ty w to wierzył. Ale jakikolwiek był powód, może nim była duma, bo